

# Jerzy Kochanowski

---

## „Niepewne czasy, pewny dolar”, czyli szkic do portretu warszawskiego czarnego rynku walutowego

---

Przegląd Historyczny 100/1, 29-46

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JERZY KOCHANOWSKI  
Uniwersytet Warszawski  
Instytut Historyczny

## „Niepewne czasy, pewny dolar”, czyli szkic do portretu warszawskiego czarnego rynku walutowego\*

„Niemał od połowy wieku — pisał w 1988 r. Jan Nieporowski — dolarowe strumyki, wijąc się pomiędzy betonowymi barierami, stawianymi przez biurokrację, zlewały się w jedną, rwącą, pełną wirów i szumowiny, dziś już miliardową rzekę. Rzekę dziwną, w części płynącą na powierzchni, w części podziemną, na jednym brzegu trochę uregulowaną, na innym zupełnie dziką. Cały czas uwijają się przy niej decydenci, bankowcy, milicjanci, a przede wszystkim — niezniszczalni cinkciarze”<sup>1</sup>.

Termin ten, wydawałoby się że od dawna zakorzeniony w języku polskim, pojawił się dopiero w latach sześćdziesiątych, kiedy przybywającym do Polski coraz liczniejszym zachodnim gościom wypadało zaproponować w języku Szekspira korzystniejszą niż w oficjalnym banku wymianę dolarów, funtów, marek czy koron. Spolonizowane *change money* przybrało więc na początku brzmienie „cinksiarz” lub „cynkciarz”<sup>2</sup>, by na początku lat siedemdziesiątych przybrać ostateczną, do dziś obowiązującą, formę. Z dawnych określeń mobilnych kantorów wymiany — „czarnogieldziarze”, „waluciarze”, czy „koniki” — tylko to ostatnie przetrwało w pamięci zbiorowej, i to w kontekście biletów nie tyle bankowych, co kinowych.

Niezależnie od nazwy, wędrowni bankierzy przez pół wieku stanowili nieodłączny element krajobrazu — społecznego, ekonomicznego, czy wręcz kulturowego — polskich miast. Można zaryzykować twierdzenie, że stali się takim samym symbolem PRL, jak pusty sklep mięsny. Brak wymienialnych walut spędzał bowiem sen z powiek władzy w podobnym (a może i większym) stopniu jak brak mięsa. W podobny sposób władza chroniła swój monopol na tych polach, i na obydwu sromotnie zresztą przegrała.

---

\* Tekst przygotowano w ramach projektu badawczego 1 H01G 074 29. Jak zaznaczono w tytule, jest to tylko „szkic do portretu”. Wielu wątków nie udało się poruszyć w ogóle, inne — tylko zarysować. Mam nadzieję, że pełniejszy obraz uda mi się przedstawić w przygotowywanej książce o czarnym rynku w PRL.

<sup>1</sup> J. Nieporowski, *Raj dla cinkciarzy*, „Tygodnik Kulturalny”, nr 14, 3 kwietnia 1988.

<sup>2</sup> T. Kur, *Gorzki smak miodu*, „Prawo i Życie” (dalej cyt.: „PiŻ”), 1968, nr 7; M. Bzeczot, *Konie, koniki i białe kohnierzyki*, ibidem, 1971, nr 10.

Jeżeli mińska linia frontu przebiegała przede wszystkim przez polskie wsie, dolarowa była domeną wielkich miast i ośrodków turystycznych. Gdybyśmy chcieli wyznaczyć „walutową” oś PRL, miałyby ona z pewnością układ południkowy, biegnąc z portowych miast Wybrzeża, przez Warszawę po Kraków i Zakopane (lub odwrotnie). Jeżeli w Szczecinie, Gdańsku, Krakowie, czy Zakopanem czarny rynek walutowy, bazując przede wszystkim na zagranicznych turystach i marynarzach, nosił cechy swoistej „monokultury”, w stolicy odznaczał się znacznie większą różnorodnością form działania, a w dolarowej grze brało udział znacznie więcej aktorów.

Taką pozycję zawdzięczała Warszawa zarówno spadkowi historycznemu (zwłaszcza po latach drugiej wojny światowej), jak splotowi (powojennych) uwarunkowań gospodarczych, politycznych czy społecznych. Już w czasie wojny Warszawa stała się głównym ośrodkiem nie tylko oporu zbrojnego i politycznego, ale również czarnego rynku. Mimo, że za handel walutą czy złotem groził podczas okupacji obóz koncentracyjny lub wręcz kara śmierci, nie brakowało chętnych do uczestnictwa w nim, zarówno w charakterze kupujących, sprzedających, czy w końcu pośredników. W chaotycznych warunkach wojny i okupacji, inflacji, niepewnego jutra i realnej groźby utraty całego majątku w ciągu dosłownie jednej chwili, olbrzymiego znaczenia nabrały walory tezauryzacyjne — waluty, złoto, brylanty — łatwe do ukrycia, a w razie potrzeby — zabrania z sobą. Nic więc dziwnego, że większość dużych transakcji podczas okupacji realizowano w dolarowych banknotach lub monetach. Zabrzmia to może paradoksalnie, ale wojna, skutecznie mieszając w społecznym i gospodarczym tyglu, zdemokratyzowała dolara, na pięćdziesiąt lat wyprzedzając prywatny obrót walutą na ulicę, do bram, knajp, prywatnych mieszkań. Nie bez znaczenia był również fakt, że to właśnie przysyłane (różnymi drogami) z Wielkiej Brytanii dolary, zarówno „miękkie” (w banknotach), jak „twarde” (w złotych monetach) służyły do pokrywania wydatków Delegatury Rządu i Armii Krajowej (pomoc, żołd *etc.*).

Trudno określić ilu ludziom — zarówno z półświatka, jak spośród bezrobotnych intelektualistów — czarny rynek walut i złota pozwolił przeżyć w okupowanej Warszawie. Niewiele wiemy jak działał, jaka była skala obrotów i zysków, jak wyglądała zależność od okupantów i zagranicy. Ten zaulek okupacyjnej codzienności w dalszym ciągu czeka na swojego historyka. Możemy jedynie stwierdzić, opierając się np. na „Kronice” Ludwika Landaua, od czego mogły zależeć kursy na warszawskiej giełdzie walutowej. „Ciekawym przejawem sytuacji gospodarczej u nas — notował Landau 6 czerwca 1940 — jest odbywający się ostatnio gwałtowny spadek kursów obiektów tezauryzacyjnych. Kurs dolara, który w okresie »sprawy 100–złotówek« osiągnął zawrotną wysokość 200 zł, a potem ciągle jeszcze utrzymywał się powyżej 100 zł, padł w ostatnich dniach do 65 zł; analogicznie obniżył się i kurs złota, co dowodzi, że nie decyduje tu zachwianie zaufania do Ameryki. Widocznie w miarę przedłużania się istniejącego stanu rzeczy ludność miejska coraz intensywniej detezauryzuje swoje środki, a wieś nie dąży w zwiększaniu swego popytu na ten cel”<sup>3</sup>. Na kształt i rozmiar warszawskiego czarnego rynku wpływało w istotny sposób getto, płacące za wszystko — od żywności po kryjówki na „aryjskiej” stronie — zazwyczaj w twardej walucie. Przykładem może być początek 1943 r., kiedy oczekiwano ostatecznej likwi-

<sup>3</sup> L. Landau, *Kronika lat wojny i okupacji*, t. I, wrzesień 1939 — listopad 1940, Warszawa 1962, s. 513. Dwa miesiące później, 10 sierpnia 1940 kronikarz zapisał: „Wyrazem dalszego szybkiego wyczerpywania się zapasów pieniędzy ludności miejskiej wydaje się nowy gwałtowny spadek ceny złota — do 12 zł za gram, co stanowi niewiele ponad 3-krotną wartość przedwojenną: znacznie mniej od stosunku wzrostu cen towarów”, *ibidem*, s. 631.

dacji getta, którego mieszkańcy za wszelką cenę — również w złotych i dolarach — próbowali znaleźć schronienie za murem. „Może z tym właśnie — zastanawiał się 1 lutego 1943 Landau — wiąże się spadek kursów złota i walut, który zaczął się pierwszy raz od dłuższego czasu: dolar złoty, który osiągnął już prawie 470 zł, spadł do 435 zł, papierowy z 180 zł do niecałych 150 zł: szczupły rynek reaguje na wzrost podaży tych walorów, jaki powstać mógł w tych okolicznościach”<sup>4</sup>.

Jedni sprzedawali zgromadzone niegdyś walory, żeby przeżyć, inni — beneficjenci wojny — kupowali, gromadząc nieraz olbrzymie majątki<sup>5</sup>. W niemalym stopniu wpłynęło to na rynek powojenny, gdyż znaczną część zamienionego na złoto, biżuterię, kamienie szlachetne czy waluty majątku udało się przechować i uratować, nawet z takiego kataklizmu jak powstanie warszawskie. Ułatwiała to rozpoczęcie nowego życia w zdruzgotanym mieście — odbudowę domu, uruchomienie sklepu czy warsztatu. Aptekarz Michał Albrecht zeznawał w styczniu 1948 r. przed Komisją Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, że „uciekając z Warszawy podczas powstania wyniósł ze sobą 5000 dolarów, że 1000 wymienił na polskie złote w 1945 r. kiedy uruchomił swoją aptekę na Targowej ulicy i że w latach 1946 i 1947 kupował i sprzedawał dolary w zależności od potrzeb. To znaczy, wyjaśnił, jeżeli mógł kupić partię towarów farmaceutycznych, a nie miał pieniędzy — to wymieniał na rynku dolary, jeżeli natomiast miał większą gotówkę, a nie miał co z nią zrobić, to kupował dolary”<sup>6</sup>.

Podobnie jak warszawski aptekarz czyniła zresztą większość prywatnych przedsiębiorców. Dla ludzi ze smykałką do interesów i brakiem skrupułów pierwsze powojenne lata były bowiem prawdziwym Eldorado. Ale jednocześnie zdawali sobie sprawę, że dobre czasy mogą szybko minąć. Dlatego też dążyli do maksymalizacji zysku, inwestowanego od razu w tradycyjne walory tezauryzacyjne<sup>7</sup>. Mieli dobre przeczucie. Kiedy też w 1948 r. szala „bitwy o handel” zdecydowanie przechyliła się na stronę państwa, prywatni wytwórcy czy kupcy zaczęli coraz intensywniej kupować waluty i złoto, zgodnie z prawami ekonomii doprowadzając do podwyżki cen (zauważonej zresztą przez Ministerstwo Skarbu, które

<sup>4</sup> Ibidem, t. II, *grudzień 1942 — czerwiec 1943*, Warszawa 1962, s. 164. Określenie „złoty dolar” (lub rubel) odnosi się do najczęściej spotykanych na czarnym rynku złotych monet, których cena była określana przez iloczyn nominalu i kursu jednostkowego. Vide liczne zapisy na ten temat w dzienniku Franciszka Wyzyńskiego (*Dzienniki z lat 1941–1944*, oprac. J. Grabowski, Z. R. Grabowski, Warszawa 2007).

<sup>5</sup> O rozmiarach tezauryzacji mogą świadczyć powojenne znaleziska. Np. na początku maja 1947 r. cztery osoby znalazły w ruinach domu przy ul. Nowy Świat 64 ok. 35 kg złota (które podzieliły pomiędzy siebie). Kiedy w marcu 1948 r. sprawą zajęła się Komisja Specjalna i dokładniej przeszukano miejsce znaleziska, odkryto jeszcze 2269 monet pięć-, 1112 dziesięć-, 84 piętnasto- i osiem siedmioipółrublowych, dwie dwudziestodolarówki i kilkadziesiąt wyrobów ze złota. AAN, Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym (dalej cyt.: AAN, KS), 808. Takie przypadki nie należały do wyjątków (vide. np. AAN, KS, 2656).

<sup>6</sup> AAN, KS, 2651.

<sup>7</sup> Jak informował w połowie 1947 r. urzędnik Komisji Specjalnej: „w rękach warstw pośrednich gromadzą się ogromne kapitały ciężące na rynku. Trzeba przy tym nadmienić, iż bardzo mała część tych kapitałów jest zaangażowana w inwestycjach. Znaczna zaś większość jest zużywana bądź na konsumpcję, bądź też na tezauryzację z reguły w walutach obcych lub też w towarach. — Warstwy spekulacyjne wykorzystują istniejący jeszcze w Polsce niedosyt towarowy. — Handel detaliczny w Polsce jest w znacznej większości w rękach sektora prywatnego, który posiada w swych rękach około 90% punktów sprzedaży. Organizacja tego handlu stoi na bardzo niskim poziomie. Znaczna część kupiectwa rekrutuje się z okupacyjnych elementów spekulacyjnych, które nie mając kwalifikacji handlowych, dążą do jak najszybszego wzbogacenia się. — Jak wiadomo sklepy na Marszałkowskiej są budowane na podstawie zezwoleń na bardzo krótki okres czasu. Z reguły 2 lata. Koszty budowy są bardzo poważne, mimo to ilość reflektantów była i jest bardzo znaczna”. AAN, KS, 10, k. 92.

— jak należy przypuszczać — również korzystało z usług czarnego rynku<sup>8</sup>). Przesłuchiwany w 1949 r. Radosław Nowacki, właściciel sklepu elektrotechnicznego „Izola” na ul. Hożej zeznawał: „Dolary w banknotach kupowałem — w różnych ilościach, ponieważ krążyły pogłoski, że będzie zmiana pieniędzy polskich. Dlatego też wszystkie pieniądze, oprócz wydanych na życie obracałem na kupno dolarów celem lokaty oszczędności”<sup>9</sup>.

Tezauryzatorzy stracili część zgromadzonych środków wskutek restrykcyjnych ustaw walutowych z października 1950 r., m.in. nakazujących odstąpienie państwu — za ułamek rzeczywistej wartości — posiadanych walut oraz metali szlachetnych (poza wyrobami użytkowymi). Jednak sporą część udało się przechować w rozmaitych „bankach ziemskich”. Dolary, złote sztabki i monety wydobyto z nich, kiedy po październiku 1956 r. ekipa Gomułki zapaliła zielone światło dla prywatnej przedsiębiorczości. Mimo, że potem systematycznie włączano czerwone światła, warszawscy prywaciarze, przyzwyczajeni już do znacznie większych przeszkód, nie oddali pola. Zapewne nie popełnimy błędu, określając Warszawę jako główny punkt oporu w tej swoistej wojnie ekonomicznej między władzą a społeczeństwem. Tu było najwięcej sklepów prywatnych: na początku lat sześćdziesiątych — 621 na 1200 tys. mieszkańców stolicy i 915 na 2400 tys. województwa warszawskiego. Dla porównania — w liczącym wtedy 3400 tys. mieszkańców województwie katowickim funkcjonowało ich 726. Wtedy też w stolicy i jej okolicach doliczono się 30% krajowych warsztatów rzemieślniczych<sup>10</sup>. W 1969 r. w Warszawie i okolicy było ok. 14 tys. zakładów rzemieślniczych, przemysłowych, handlowych i usługowych (tyle samo co w Łodzi, Krakowie i Wrocławiu razem wziętych). Stąd pochodziła prawie połowa prywatnej produkcji eksportowej, tutaj w końcu mieściła się jedna trzecia ogółu „prywatnych zakładów milionerów” (ok. 700)<sup>11</sup>. Podobnie jak w latach czterdziestych, prywatni przedsiębiorcy znaczną część dochodów (często wysokich!) inwestowali w tradycyjne walory tezauryzacyjne. Wydaje się jednak, że nieco inaczej traktowano już dolary i złoto. Jeżeli to drugie tradycyjnie chowano na „czarną godzinę” na strychach, czy w ogródkach, dewizy w coraz większym stopniu służyły konsumpcji (wycieczki zagraniczne, zakupy w sklepach tzw. eksportu wewnętrznego) albo jako kapitał obrotowy do zakupu towarów, maszyn, surowców lub też przeznaczane były do nielegalnego „obrotu międzynarodowego”.

Sektor prywatny był ważnym czynnikiem wpływającym na kształt i rozmiary warszawskiego czarnego rynku, ale z pewnością nie jedynym. Warszawa stanowiła centrum życia kulturalnego, naukowego, gospodarczego i politycznego. Nie brakowało tutaj ludzi dysponujących dużą gotówką (zdobytą nie zawsze legalnie) i chcących ją w sposób dyskretny zainwestować (afery mięsna z 1964 r. jest tutaj najbardziej znanym, choć z pewnością nie najbardziej typowym przykładem). W stolicy łatwo było się ukryć i korzystać z owoców przestępstwa „w sposób niezwracający na to uwagi społecznej”. „W Warszawie — oceniano w 1964 r. — grupują się dość aktywne grupy waluciarzy, mających rozległe powiązania

<sup>8</sup> AAN, KS, 2651. Podwyżka czarnorynkowego kursu walut i złota była najwyższa w Warszawie, co szybko doprowadziło do „transferów dolarowych” z innych miast (m.in. z Krakowa) do stolicy. AAN, KS, 1289, Akta sprawy przeciwko Abrahamowi Danzigerowi.

<sup>9</sup> AAN, KS, 1303. W tej samej teczce liczne przykłady podobnych działań tezauryzacyjnych warszawskich przedsiębiorców.

<sup>10</sup> AP m. st. Warszawy, Komitet Warszawski PZPR, (dalej cyt.: APW, KW PZPR) 30/XVIII-7, t. 1, k. 163, Informacja w sprawie walki z przestępczością gospodarczą w Warszawie w ostatnich latach, 1964.

<sup>11</sup> APW, KW PZPR, 30/XVIII-3, t. 3, k. 58, Stenogram z narady aktywu partyjnego w sprawie bezpieczeństwa i porządku publicznego, 11 września 1969.



z różnymi środowiskami waluciarzy zagranicznych oraz stosunki handlowe z aferzystami gospodarczymi, którzy kupują od nich za skradzione pieniądze obce waluty i złoto”<sup>12</sup>. Warszawa była też olbrzymim rynkiem zbytu artykułów wówczas luksusowych, pochodzących w olbrzymiej części z nielegalnego (i opłacanego w dewizach) importu (czy też — używając właściwszych określeń — przemytu). Była też chyba w skali Polski rynkiem najbardziej świadomym i zorientowanym w światowych trendach, służących jako wzorce do naśladowania.

Tutaj mieściły się przedstawicielstwa dyplomatyczne i handlowe, tutaj swoje główne kwatery mieli zagraniczni korespondenci, tutaj w końcu znajdował się długo jedyny międzynarodowy port lotniczy PRL, zawsze zaś największy i utrzymujący połączenia transkontynentalne. Wpływało to na łatwość upowszechniania się zachodnich wzorców konsumpcji, ale również rzucało na rynek duże ilości zachodnich walut. Już bowiem od lat czterdziestych ambasady pokrywały znaczną część swoich kosztów sprzedając waluty na czarnym rynku<sup>13</sup>. Tak też pozostało do końca istnienia różnicy między kursem oficjalnym a czarnorynkowym. Co jakiś czas — zwłaszcza podczas narastających problemów ze zdobyciem walut — władze zauważały ten problem. W końcu lat siedemdziesiątych skarżono się, że w wielu ambasadach i przedstawicielstwach zagranicznych firm legalnie wymieniane środki nie pokrywają nawet kosztów pracy polskich pracowników. Jak obliczano, w ambasadzie Jugosławii miesięczne oficjalne wydatki na pracownika wynosiły zaledwie 2,8 tys. zł, Norwegii — 2,4 tys. Droga „dyplomatyczna” miało corocznie trafiać na warszawski czarny rynek co najmniej 5 milionów dolarów<sup>14</sup>.

Trudno powiedzieć, ilu rezydujących w Warszawie dyplomatów, korzystając z immunitetu i zwolnienia od kontroli granicznych, czynnie uczestniczyło w międzynarodowej nielegalnej wymianie handlowej. Z pewnością nie były to wypadki sporadyczne. Na przykład pracownica ambasady meksykańskiej, Conchita Partillo, podczas pobytu na warszawskiej placówce „przywiozła osobiście lub przy pomocy innych pracowników” 165 kg złota w sztabkach i 2,4 kg złotych monet rublowych<sup>15</sup>. Czasami był to proceder trwający wiele lat. W ambasadzie brazylijskiej jej polski pracownik już w 1949 r. podjął się pośrednictwa w sprzedaży dewiz na czarnym rynku. Wkrótce interes miejscowy przemienił się w międzynarodowy, przekazywany przez jedną obsadę dyplomatyczną drugiej i prowadzony już bez polskich pośredników. Brazylijscy dyplomaci „przywozili wielkie ilości złota, sprzedawali za dolary, dolary wywozili, kupowali za nie złoto”<sup>16</sup>.

<sup>12</sup> APW, KW PZPR, 30/XVIII-7, t. 1, k. 164, Informacja w sprawie walki z przestępczością gospodarczą w Warszawie w ostatnich latach, 1964.

<sup>13</sup> A. B l i s s - L a n e, *Widziałem Polskę zdradzoną*, Warszawa 1984, s. 91.

<sup>14</sup> AAN, PZPR, XIA/511, k. 9-10, Społeczno-ekonomiczne aspekty czarnorynkowego kursu walut krajów kapitalistycznych, 2 listopada 1978.

<sup>15</sup> APW, KW PZPR, 30/VII-43, t. 49, k. 68-69, Informacja o przestępczości dewizowej na terenie m.st. Warszawy w latach 1970-1972.

<sup>16</sup> B. S e i d l e r, *Krach wyznawców Midasa*, „Życie Literackie” (dalej cyt.: „ŻŁ”), 4 lutego 1976. W 1965 r. organa bezpieczeństwa wpadły na ślad Andrzeja Rusieckiego z Warszawy, który rozprowadzał otrzymywane od pracownika ambasady włoskiej dewizy i złoto. Według informacji MSW Rusiecki „w latach 1963-1964 sprzedał nielegalnie różnym osobom (m.in. biskupowi kościoła protestanckiego) łącznie 23 tys. dolarów USA, w tym 10 tys. w złotych monetach. Rusiecki wyjaśnił, że Lattari otrzymywał złote monety w celu nielegalnej sprzedaży od ambasadora i konsula włoskiego, a żona konsula w tym okresie wywoziła z Polski banknoty 500 złotych”. Archiwum IPN, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych II (dalej cyt.: AIPN, MSW II), 4370, k. 89. Na początku lat

Polscy dyplomaci czy pracownicy MSW również nie pozostawali w tyle. Na początku 1962 r. ujawniono np. grupę kurierów MSZ i MSW, którzy przemycili do Polski 4 tys. złotych dwudziestodolarówek oraz inne waluty, sztabki *etc.*, przemycając za granicę co najmniej 160 tys. dolarów w banknotach. W śledztwie nie ukrywali swojej działalności, tłumacząc ją klimatem panującym w MSZ: „wyjaśniają, że prawie wszyscy pracownicy MSZ wyjeżdżający za granicę wzgl. przebywający na placówkach, zajmowali się oficjalnie nielegalnym handlem, w tym nawet osoby zajmujące poważne stanowiska w kraju i za granicą”<sup>17</sup>. Od połowy lat sześćdziesiątych systematycznie pojawiały się również informacje o działalności przemytniczej sportowców, zwłaszcza najczęściej wyjeżdżających — z kadry narodowej i klubów stołecznych<sup>18</sup>.

Powyżej przedstawiono jedynie ogólne ramy warunkujące istnienie i rozwój warszawskiego „rynku walutowego”. Nie mógłby on jednak ani istnieć, ani działać bez swoich społecznych aktorów. W tym przypadku było jednak trochę inaczej niż w kinie lub teatrze — im ważniejszy aktor, w tym głębszym cieniu pozostawał, na pierwszym planie widoczni byli zaś głównie statyści. Nie wchodząc w oceny moralne należy zauważyć, że było to chyba jedno z ciekawszych środowisk powojennej Warszawy, na pewno zaś znacznie barwniejsze i zróżnicowane niż do tej pory sądzono.

Zdecydowała o tym w dużej mierze wojna, która skutecznie przełamała dawne bariery społeczne i konwenanse<sup>19</sup>. Próby powrotu do dawnego życia, zawodu, posady często rozbiły się o rafy powojennych realiów — oficjalne zarobki, zarówno robotników, jak inteligentów były dosłownie głodowe. Natomiast handel, zwłaszcza nielegalny, gwarantował znacznie wyższy standard życia, zaś ryzyko — przede wszystkim w „pionierskim” okresie bezpośrednio po wojnie — było niewielkie. „Handel, nawet doraźnie uprawiany

---

siedemdziesiątych została nagłośniona sprawa przedstawiciela francuskiego oddziału „General Electric”, Jeana Theophile’a Girardota, który w ciągu dwóch lat (1968–1970) przywiózł do Polski ok. 35 kg złota w sztabkach i 7 tys. złotych monet dziesięciorublowych, wywożąc 170 tys. dolarów. M. B e j k a ł o, *Doigrałeś się amatorze*, „ŻL”, 23, 6 czerwca 1971.

<sup>17</sup> AIPN, MSW II 97, k. 1.

<sup>18</sup> W 1965 r. przemytnicza działalność sportowców (m.in. Janusza Sidły i Władysława Komara) stała się przedmiotem korespondencji między Prokuraturą Generalną a Urzędem Rady Ministrów. Jak podkreślano „nadużycia tego rodzaju posiadają charakter niemal powszechny i pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich winnych tych nadużyć mogłoby doprowadzić do zdekomputowania prawie całej kadry narodowej lekkoatletów i innych dyscyplin sportu”. To, jak i względy prestiżowe skłoniły władze do zatuszowania sprawy. Tylko część sportowców pociągnięto do odpowiedzialności skarbowej. Cf. AAN, Urząd Rady Ministrów (URM), 1.2./1, k. 17–21. W 1973 r. nie było już obiekcji przed postawieniem przed sądem polskiej kadry brydża sportowego, której handlową działalność stołeczna milicja „rozpracowała” w październiku 1972 r. Z jednej strony właśnie wtedy władze toczyły nagłaśnianą w mediach walkę z „przestępstwami walutowo-przemytniczymi”, z drugiej, w przypadku akurat tej dziedziny sportu nie należało oczekiwać sprzeciwów społecznych. APW, KW PZPR, 30/XVIII –7 t. 1, k. 441–444; J. K o ł o d z i e j s k i, *Nokaut brydżowy*, „PiŻ”, 1973, nr 17; idem, *Przemytnicy i kibice*, ibidem, 1973, nr 34; K. J a g i e ł o, *Wszystkiego za mało*, „Literatura”, 1973, nr 40.

<sup>19</sup> M. Dąbrowska opisuje rodzinę Kelles–Krauz, żyjącą po wojnie „z wyrobu mydła, darów Unnry i handlu walutami”. „Rano przyjechała z Gliwic — zanotowała 12 listopada 1945 Dąbrowska — druga córka Krauzów, która handluje walutami. — — Najwięcej zarabia i stanowi »mężczyznę« w tym domu kobiet. Pije wódkę, pali, je ostre męskie rzeczy, gardząc prawdziwymi domowymi potrawami”. M. D a b r o w s k a, *Dzienniki powojenne 1945–1949*, oprac. T. D r e n o w s k i, Warszawa 1997, s. 85. Przypadek odnosi się wprawdzie do Radomia, jednak w Warszawie — jak zresztą w całej Europie — było podobnie.

i czarny rynek — pisał Stanisław K o r o w i c z — dawały znacznie większe dochody niż uposażenia pracowników umysłowych lub robotników”<sup>20</sup>. Nic dziwnego, że włoski dziennikarz i dyplomata Alceo Valcini, doskonale zorientowany w polskich stosunkach, wspominał, że na przełomie roku 1945 i 1946 na warszawskim czarnym rynku „można było spotkać intelektualistę, przedstawiciela wolnych zawodów, nauczyciela, młodych złodziejasków — —, byłych studentów, młodych terminatorów, byłe służące i zwykłych przestępców; wszystkich ludzi, których z normalnego życia wytrąciły wojenne wypadki, a którzy po mistrzowsku, cierpliwie i zręcznie usiłowali utrzymać się na powierzchni morza śniegu pokrywającego Warszawę”<sup>21</sup>.

Jeżeli więc warszawski czarny rynek utrzymał niemalą — jak należy przypuszczać — część swoich jeszcze okupacyjnych aktorów, to radykalnej zmianie uległa jego geografia. W zniszczonej lewobrzeżnej części miasta, centrum handlu walutą i złotem przeniosło się z pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy), na róg ul. Marszałkowskiej i al. Jerozolimskich (wtedy al. Sikorskiego), w okolice hotelu „Polonia”, gdzie bezpośrednio po wojnie mieściła się większość zagranicznych ambasad. W okolicy nie brakowało też banków (jak Komunalna Kasa Oszczędności<sup>22</sup>), czy najlepszych w powojennej Warszawie restauracji (np. „Kongo” na ul. Nowogrodzkiej). Większe znaczenie niż w czasie okupacji zyskała również stosunkowo nieznacznie zniszczona Praga. Tutaj handel — w tym walutą i złotem — koncentrował się na ul. Targowej, przede wszystkim w okolicy Bazaru Różycykiego (i oczywiście na nim samym).

Większość handlarzy — wtedy nazywanych jeszcze „konikami” lub „waluciarzami” — oferujących mniej lub bardziej jawnie swoje usługi, było swoistymi podwykonawcami, korzystającymi z „kapitałów obrotowych” handlarzy stojących wyżej w czarnorynkowej hierarchii i dostającymi za pośrednictwo ustaloną prowizję. Czasami obracali dużymi sumami. Przykładem może być Wacław Świeboda, malarz pokojowy, który „od początku

<sup>20</sup> S. M. K o r o w i c z, *W Polsce pod sowieckim jarzmem*, Londyn 1955, s. 31. W krążącym po Krakowie bezpośrednio po wojnie dowcipie było sporo prawdy: „Pyta jeden drugiego: »Z czego życie?« Ten mu odpowiada: »Ja pracuję na poczcie, żona jest nauczycielką, jedna córka w starostwie, druga jest urzędniczką w fabryce tytoniu na Dolnych Młynach, a syn bez pracy. Jakoś pchamy tę biedę nie najgorzej«. Lecz pierwszy, oburzony, zawoła: »Jak to? Pozwalacie synowi, takiemu dorosłemu mężczyźnie być bez zajęcia?« Na to ojciec rodziny odpowie: »Mój kochany, przecież on nie może pracować, bo musi tyle pieniędzy zarobić, by nam wszystkim pomagać, inaczej z tymi czterema pensjami, zdechlibyśmy z głodu«.” Ibidem.

<sup>21</sup> A. V a l c i n i, *Bal w hotelu „Polonia”*, Warszawa 1983, s. 32.

<sup>22</sup> AAN, KS, 2656. 5 października 1946 funkcjonariusze Okręgowego Inspektoratu Ochrony Skarbowej w Warszawie założyli klasyczny „kocioł” w lokalu Kasy Kredytowej Rolników przy ul. Nowogrodzkiej 6a, która według obserwacji urzędników skarbowych zajmowała się nie tyle chłopami, co operacjami na czarnej giełdzie. „Jako pierwszy — pisano w sprawozdaniu — do lokalu Kasy przyszedł Paderewski Zygmunt, przy którym nic nie znaleziono, jednakże znany jest on nam od kilku miesięcy jako handlujący obcą walutą (raz już zatrzymany przy likwidacji gniazda handlu obcą walutą w BGK przez GIOS). Następnie przyszła Zwolińska Celina, która przyniosła w rękę 100 dolarów, jednakże widząc kilku mężczyzn i orientując się, co się dzieje, starała się je ukryć za paskiem sukienki. Pomijając tę kwestię, zeznała ona w protokule [sic!], że omawiane dolary kupiła na »czarnej giełdzie«. Po niej wszedł Zawistowski Henryk, przynosząc ze sobą całą kolekcję różnych walut. — — Następną osobą była Gutowska Krystyna, która rzekomo przyszła po kartki aprowizacyjne swego męża. Gutowska nie pytana o nic, od razu [sic!] posiadane przy sobie 5 monet złotych ukryła w bucie. — — Następną osobą, która weszła do lokalu Kasy była Krzywoszevska Irena. Przyniosła ze sobą 170 dolarów papierowych, które starała się w pierwszej chwili odrzucić od siebie. Nie bez związku z całą sprawą było przyniesienie 130 dolarów w złocie przez córkę Forysia do lokalu Kasy. Ogólnie zakwestionowano walut obcych w przeliczeniu na złote polskie za sumę około 1.003.300 zł”. AAN, Główny Inspektorat Ochrony Skarbowej, 120.



1946 r. do października 1950 r. w Warszawie czynem ciągłym bez zezwolenia właściwej władzy zawodowo handlował zagranicznymi środkami płatniczymi”. Jako „konik” utrzymywał kontakty z kilkoma „hurtownikami”, dla których w ciągu czterech lat kupił lub sprzedał po kilka tysięcy dolarów, marek niemieckich lub radzieckich „czerwieńców” (w banknotach i złotych)<sup>23</sup>.

Jak wspomniano, nabywcami byli przede wszystkim kupcy oraz rzemieślnicy, lokujący w złotych i dolarach swoje dochody. Z drugiej strony prywatne sklepy nieraz stanowiły zakonspirowane kantory wymiany. Jeżeli też — w sposób jak najbardziej naturalny — bimbrem handlowali przede wszystkim restauratorzy czy właściciele budek spożywczych, to handel złotem i dewizami wzięli w swoje ręce jubilerzy. Nieprzypadkowo sklepy tej właśnie branży najczęściej pojawiają się w najpoważniejszych sprawach waluciarskich drugiej połowy lat czterdziestych. Np. Jan Łada, właściciel dwóch sklepów jubilerskich na ul. Marszałkowskiej, „trudnił się od 1945 r. do lutego [19]49 r. nielegalnie handlem walutą obcą na wielką skalę. Utrzymywał on kontakty z szeregiem znanych handlarzy walutą, a wysokość dokonanych transakcji wahała się od 200 do 300 dolarów jednorazowo. Walutę obcą zakupywał od znanych handlarzy i od osób nietrudniących się handlem walutą zawodowo”<sup>24</sup>.

Kiedy w latach 1947–1949 nasiliły się zabiegi tezauryzacyjne społeczeństwa, Komisja Specjalna, milicja, czy Ochrona Skarbowa przestały tylko pozorować walkę z czarnym rynkiem walutowym. Brak niezbitych dowodów przestał też być przeszkodą przed skazaniem „czarnogiełdziarza” na kilka miesięcy obozu pracy. Wystarczyło samo podejrzenie, brak stałego zatrudnienia lub przeświadczenie funkcjonariuszy MO czy Komisji Specjalnej (*notabene* najczęściej słuszne). „Jakkolwiek rewizja osobista przeprowadzona u podejrzanych nie ujawniła posiadania obcej waluty — pisano 8 maja 1947 w raporcie po obławie na „waluciarzy” spod „Polonii” — a z krajowej waluty tylko 3600 zł u Lipińskiego i 3042 zł u Jarzębowskiego, niemniej jednak z zeznań świadka Orłowskiego oraz z okoliczności, iż podejrzani nie mają stałego źródła utrzymania, [wynika] że są oni pośrednikami, »naganiaczami« w handlu obcą walutą”<sup>25</sup>. Podczas kolejnej obławy zorganizowanej na rogu al. Jerozolimskich i Marszałkowskiej pięć dni później, zatrzymano m.in. Antoniego Szymańskiego, „który po sprawdzeniu w Urzędzie Śledczym przy Komendzie MO okazał się już dwukrotnie notowany jako podejrzany o handel obcą walutą. — Biorąc pod uwagę fakt, iż podejrzany Szymański zatrzymany został podczas obławy na waluciarzy w miejscu stanowiącym centralę tychże waluciarzy, że dwukrotnie był już zanotowany w Wydziale Śledczym jako podejrzany o handel walutą, że jak sam zeznał, żadną pracą zawodową się nie zajmuje, Delegatura Warszawska Komisji Specjalnej doszła do wniosku iż jest on tak zwanym »konikiem«, »waluciarzem« i jako taki typem społecznie i gospodarczo szkodliwym”<sup>26</sup>.

<sup>23</sup> AAN, KS, 1313.

<sup>24</sup> Ibidem. O innych firmach jubilerskich: AAN, KS, 1274, 2646.

<sup>25</sup> AAN, KS, 2651.

<sup>26</sup> Ibidem. Podobnie postępowano z „konikami” zatrzymanymi w drugim centrum warszawskiej „czarnej giełdy”, koło Bazaru Różycyckiego. Złapany w czerwcu 1947 r. Mieczysław Zduńczyk „nie przyznał się do stawianych mu zarzutów i na swoje usprawiedliwienie dodaje, że handluje tylko różną garderobą na Bazarze Różycyckiego, lecz budki i prawa handlowania nie posiada, tymczasem według przeprowadzonych obserwacji przez

Coraz dotkliwsze represje (szeregowy „konik” nawet w sprawie poszlakowej otrzymał najczęściej wyrok od 3 do 6 miesięcy obozu pracy) prowadziły do rozwoju strategii przystosowawczych — od uzupełniania standardowych marynarek o specjalne kieszenie (szybko zyskały miano „waluciarskich”), po znacznie zwiększoną konspirację działań i przechowywanie walut czy złota u osób pozostających poza podejrzeniami: dozorców, znajomych, pracowników<sup>27</sup>.

Sytuację czarnego rynku walutowego całkowicie zmieniła ustawa walutowa z 28 października 1950. Nowe przepisy zabraniały obywatelom nie tylko handlowania walutami obcymi i szlachetnymi kruszcami w „formie nieużytkowej”, ale samego ich posiadania. Na odstąpienie państwu posiadanych walorów (lub ich zdeponowanie w bankach) dano dwa tygodnie, potem groziły kary do 15 lat więzienia, grzywny i konfiskaty „zatajonego” majątku. Natomiast za nielegalny handel walutami i kruszcami można było stanąć przed sądem doraźnym, władnym wydać w takim przypadku nawet wyrok śmierci.

Władze nie bardzo chyba wierzyły w skuteczność samych zapowiedzi i już 2 listopada 1950 minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz wydał rozkaz nr 050, nakazujący „dla osiągnięcia efektu odstrasżającego, dla ukrócenia rozpasania przestępców walutowych” przygotować pokazowe procesy „waluciarzy”<sup>28</sup>. Kary rzeczywiście zaostrzono, wprowadzając obok więzienia i grzywny także przymusowe wydalenie ze stolicy. Np. wspomniany wyżej Waław Świeboda został w 1951 r. skazany na dwa lata obozu, 60 tys. zł grzywny (z zamianą na dwa lata) i wysiedlenie z Warszawy na pięć lat<sup>29</sup>. Terror nie polegał jednak na skazywaniu tych, którzy z takim rozwiązaniem się liczyli, lecz ludzi całkowicie niewinnych i niezdających sobie nawet sprawy, że są „przestępcami”. W materiałach warszawskiej Komisji Specjalnej nie brakuje przypadków skazania za posiadanie — często zresztą przypadkowe — drobnych sum w dolarach<sup>30</sup>.

Część społeczeństwa obawiając się represji rzeczywiście oddała państwu (termin „odsprzedała” nie byłby tutaj chyba właściwy) posiadane waluty lub kruszce, część jednak nie poddała się, ograniczając się tylko do lepszego — jak sądzono — zakonspirowania zasobów w przeróżnych „bankach ziemskich”<sup>31</sup>. W razie wpadki (najczęściej po donosie „sąsiedzkim”) nieraz próbowano bronić zarówno swojego majątku, jak zatrzymanych

---

funkcjonariuszy milicji Zduńczyk całymi dniami przebywa na ulicy obok Bazaru Różyckiego, gdzie mieści się czarna giełda i zaczepia przechodniów z propozycją sprzedaży lub kupna złota, ewentualnie waluty obcej i nikt z obserwujących nie zauważył, żeby przy sobie posiadał garderobę na sprzedaż”. Został skazany na 6 miesięcy obozu pracy. Ibidem.

<sup>27</sup> AAN, KS, 2657, 2651.

<sup>28</sup> A. Kochański, *Polska 1944–1991. Informator historyczny*, t. 1, Warszawa 1996, s. 353.

<sup>29</sup> AAN, KS, 1313.

<sup>30</sup> Dobrym przykładem może być Katarzyna Mościcka, której już 20 grudnia 1950 wykazano, że „posiadała bez zezwolenia Komisji Dewizowej 1 banknot dolarowy, otrzymany w 1947 r. od Zofii Gawareckiej w zamian za ofiarowaną jej kurę”. Z kolei ofiarodawczyni zarzucono, iż „w roku 1947 czasu bliżej nieustalonego, wbrew obowiązującym przepisom wprowadziła do obrotu jednego dolara USA, wręczając go Krystynie Mościckiej w zamian za otrzymaną od niej uprzednio kurę”. W lipcu 1951 r. warszawska Komisja Specjalna zaproponowała następujące kary: Mościcka 1500 zł grzywny lub 2 miesiące aresztu, Gawarecka 60 zł lub tydzień aresztu. AAN, KS, 2651.

<sup>31</sup> J. Oleś, *Przemysł wartości dewizowych*, Akademia Spraw Wewnętrznych, Warszawa 1978, AIPN 01521/2035, s. 25.

członków rodziny, korzystając np. z luk prawnych<sup>32</sup>, a w razie potrzeby odwołując się nawet do przewodniczącego Rady Państwa. W październiku 1953 r. mąż skazanej na więzienie, grzywnę i pięcioletnie wygnanie z Warszawy właścicielki prywatnej restauracji (oskarżonej o spekulację, skup i posiadanie dolarów i biżuterii), pisał do Aleksandra Zawadzkiego: „Biżuteria i waluty stanowiły dorobek jej trzydziestoletniej pracy gromadzony w celu zabezpieczenia bytu na starość. Część biżuterii była własnością jej córki. Instynkt gromadzenia rzeczy wartościowych jest pozostałością i wytworem ustroju oraz warunków życia, które w każdej chwili groziły każdemu człowiekowi nędzą. Instynkt ten jest bardzo silny i nie każdy człowiek jest w stanie wyzwolić się z jego wpływu zwłaszcza ten, który większą część życia spędził w ustroju pełnym antagonizmu i ustawicznej walki o byt. — —

Wyrok ten powoduje rozbitcie rodziny, która w ustroju socjalistycznym jest podstawową komórką życia społecznego i pozostaje pod opieką państwa.

Wyrok ten jest dowodem, że człowiek, który zbłądził i odkupił swe winy jest jednak jednostką zbędną, należy go odizolować od społeczeństwa i rodziny. A przecież komu moja żona może szkodzić i na co komu przyda się to, że przez 5 lat będzie w charakterze »trędownatej« usunięta z Warszawy. O takich metodach słyszałem przez radio [*sic!*] — fa-la 49 — ale działo się to w Ameryce, która tworzy getta dla murzynów [*sic!*], wysiedlając ich poza granice miast”<sup>33</sup>. Według adnotacji z 11 grudnia 1953 podanie pozostawiono „bez dalszego biegu”.

Mimo represji czarny rynek walutowy nie zamarł, jego aktorzy grali tylko znacznie ostrożniej. Prawa ekonomii są bowiem niewzruszone: jeżeli jest popyt, znajdzie się również i podaż. Tymczasem w Polsce nie brakowało czynników utrzymujących czarną giełdę walutową przy życiu. Rabunkowa wymiana pieniędzy z października 1950 r. boleśnie dotknęła zwłaszcza grupy posiadające stezauryzowane zasoby złotówkowe. Obawa przed podobną, niespodziewaną wymianą stała się trwałym elementem życia społeczno-gospodarczego PRL, powodując co jakiś czas wybuchy paniki, zawsze zaś niewiarę we własną walutę i skłaniając do lokowania oszczędności w dewizach lub złocie. Plan sześcioletni i wojna w Korei prowadziły z jednej strony do zubożenia społeczeństwa, z drugiej do gwałtownego spadku wartości krajowej waluty i inflacji. Kto miał więc nieco złotych, natychmiast lokował je w trwalsze nośniki wartości<sup>34</sup>. Choć granice były szczelnie zamknięte, to przemytnicy zawsze znajdowali w nich lukę: pociągi jeździły, marynarze wpływali do portów, przemytnicy przechodzili przez zieloną granicę. Do Polski płynęły więc poszukiwane i cenione zachodnie zegarki, czy nylony. Należało je jednak kupić za przemycone z Polski dewizy.

<sup>32</sup> Ustawa z 1950 r. zabraniała posiadania walut i kruszców, karała jednak wyłącznie ich prawnego właściciela. Uzupełniające akty prawne z 1952 r. dopuszczały możliwość przechowywania dewiz (oczywiście posiadanych legalnie) za odpowiednią zgodą władz. Przepisy te adwokaci oskarżonych interpretowali jako zwalniające „osobę przyjmującą na przechowanie np. waluty zagraniczne od obowiązku stwierdzenia, że osoba oddająca posiada je legalnie. Niektórzy — komentował urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości — bronią się, że nawet jak wiedzą, że były one »nielegalne«, to nie są winni, gdyż nie zachodzi »obrot wartościami dewizowymi«, posiadanie na nich nie »przechodzi«”. AAN, Ministerstwo Sprawiedliwości, 3019, k. 83.

<sup>33</sup> AAN, KS, 1325, k. 49.

<sup>34</sup> Np. podmiejscy chłopci czy ogrodnicy natychmiast po zainkasowaniu należności za dostarczone do miast produkty, inwestowali zarobek w np. złotą pieciorublówkę, często sprzedając ją wiosną, na przednówku. Cf. Herder-Institut Marburg (dalej cyt.: HIM), P6211, RFE Reaserch, Item 87/65, Foreign exchange trade flourishes.

Zawodowych „waluciarzy” nie były też w stanie powstrzymać organizowane co jakiś czas procesy pokazowe<sup>35</sup>. Zwłaszcza, że zapowiadane wyroki śmierci co prawda zapadały, z zasady nie były jednak wykonywane. Zazwyczaj kończyło się jak w przypadku Adama Sawickiego, skazanego w 1952 r. na karę śmierci, wkrótce zamienioną na dożywocie, a przy kolejnych amnestiach zmniejszoną do 12 i następnie 8 lat. „Waluciarz” opuścił więzienie w styczniu 1957 r.<sup>36</sup> Stanisław Korowicz tłumaczył takie postępowanie w niezwykle pragmatyczny sposób: „W pierwszej połowie roku po tej reformie walutowej złapano kilkunastu spekulantów i urządzano procesy pokazowe dla zastraszenia ludzi. Skutek był taki, że tylko minimalna ilość dolarów i funtów została wymieniona w bankach, a inne znikły na jakiś czas z czarnego rynku. I oto ludzie poczęli podziwiać nowe zjawisko polityczno-ekonomiczne: Reżym potrzebuje dolara i funta. — — A agenci rządowi czuli, że dolarów w Kraju jest mnóstwo. Stało się więc, że procesy dewizowe zamarły, że przestano wygrażać w prasie spekulantom walutowym, natomiast czynniki reżymowe poczęły, różnymi pośrednimi drogami skupywać na czarnym rynku cenne dolary i funty”<sup>37</sup>. Nie ma wiarygodnych przekazów potwierdzających tę wersję, nie można jej jednak wykluczyć.

Z konieczności zmienił się tylko sposób funkcjonowania czarnego rynku. Zniknęły tradycyjne, wszystkim znane giełdy walutowe, z typowymi postaciami „koników”, półgłosem informujących o chęci nabycia lub zbycia „twardych” i „miękkich”. To, że handlarze zaczęli działać w większej konspiracji, nie oznaczało jednak, że dotarcie do nich było specjalnie trudne. W połowie 1956 r. emigrant z Polski opowiadał pracownikowi Radia Wolna Europa: „W porównaniu do pierwszych lat powojennych sytuacja zmieniła się o tyle, że nie ma już w miastach określonych punktów, gdzie można spotkać handlarzy dewizami i załatwić z nimi transakcje [*sic!*]. Trzeba więc wiedzieć, gdzie ich szukać, ale każdy mający głowę na karku może do nich trafić”<sup>38</sup>. „Miejscami spotkań [handlarzy] — opowiadał inny przybysz z Polski — pozostały nieliczne kawiarnie, bramy, sklepy — —. W porannych godzinach (najczęściej 11–ta) schodziło się w umówionym miejscu kilka »wplywowych« osobistości, które uzgadniały kurs. — — Takim umówionym miejscem w Warszawie, gdzie uzgadniano kurs dzienny był zegar dworca kolejki E. K. D. na ul. Nowogrodzkiej i tu o 11–tej wmieszane w tłum zadyszane postacie wymieniały swe zdania co do bieżącej wartości dolara i szybko znikaly w rozmaitych kierunkach”<sup>39</sup>. Transakcje odbywały się zazwyczaj nie bezpośrednio, ale na tzw. skrzynkę. Była to trzecia osoba, do której podchodził kupujący, już po wpłaceniu należnej sumy. Czasami bywała to kobieta z dzieckiem w wózku (zawsze można się było tłumaczyć, że ktoś podrzucił zwitek banknotów). Nieraz jako „skrzynki” służyły sklepy, spotkania w których nie budziły podejrzeń. Stosunkowo rzadko natomiast finalizowano transakcje w mieszkaniach prywatnych, zwłaszcza, że kara groziła wszystkim — również przechowującym waluty, czy pomagającym w inny sposób<sup>40</sup>. Dopie-

<sup>35</sup> *Funty i dolary stałym pieniądzem w Polsce. Procesy przeciw „waluciarzom” dla zastraszenia publiczności*, „Dziennik Polski” (Londyn), nr 286, 29 listopada 1952.

<sup>36</sup> APW, KW PZPR, 30/XVIII-7, t. 1, k. 60–61.

<sup>37</sup> S. M. Korowicz, op. cit., s. 235–236.

<sup>38</sup> HIM, P6211, RFE Research, Item 87/65, Foreign exchange trade flourishes.

<sup>39</sup> Ibidem, 5594/57, History of the dollar black market in Poland.

<sup>40</sup> Ibidem.

ro odwilż 1956 r. „otworzyła ponownie bramy do rajy dla giełdjarzy. Zaczęto znowu waluty nosić przy sobie, spotykano się znów mniej więcej otwarcie”<sup>41</sup>.

Dla warszawskich (i nie tylko) waluciarzy decydujące były nie tyle polityczne wydarzenia jesieni 1956 r., co ich gospodarcze i społeczne konsekwencje. Już na początku listopada 1956 r. Ministerstwo Finansów wydało rozporządzenie (a Sejm wkrótce uchwalił odpowiednią ustawę — Dz. U. 1956, nr 50, poz. 223) znoszące zakaz posiadania dewiz, złota i platyny, pozwolono na podjęcie z banku „wartości dewizowych” zdeponowanych tam po październiku 1950 r., wyrażono zgodę na wywóz i przywóz wyrobów użytkowych z metali i kamieni szlachetnych. 9 listopada zorganizowano w Ministerstwie Finansów konferencję prasową, podczas której nie ukrywano, że chodzi o „uruchomienie tezauryzowanych obecnie walut, wykorzystanie ich — przede wszystkim — dla poprawy zaopatrzenia w surowce i maszyny rzemiosła oraz w nawozy sztuczne, środki owadobójcze, materiały budowlane i także maszyny — rolników. — — Umożliwienie posiadaczom tych walut np. budowy domku jednorodzinnego, otwarcia rzemieślniczego warsztatu, intensyfikacji produkcji rolnej itp. — powinno ich zachęcić do wykorzystania tych możliwości, a gospodarce narodowej przysporzyć towarów na rynku”<sup>42</sup>. Wszelkie operacje walutowe przejmował Bank Polska Kasa Opieki, już od końca lat dwudziestych pośredniczący w operacjach dewizowych między Polakami w kraju i za granicą. Pieniądze oficjalnie przesyłane zza granicy klienci mogli „konsumować” w postaci oferowanych przez bank artykułów przemysłowych lub spożywczych, niedostępnych na krajowym rynku<sup>43</sup>.

Skupienie oficjalnych transakcji dewizowych w placówkach PKO radykalnie zmieniło geografie warszawskiego — a z racji ulokowania ich początkowo przede wszystkim w stolicy — także krajowego rynku walutowego. Teraz jego centrum stały się okolice stołecznych ulic Traugutta, Czackiego, Kredytowej, Jasnej, Świętokrzyskiej. Niezwykle ułatwiło to zadanie „waluciarzom”, którzy — mimo oficjalnego zakazu handlu „wartościami dewizowymi” — doskonale wykorzystali osłabienie struktur państwa (w tym MO) po październiku 1956 r. i działali praktycznie oficjalnie, specjalnie się nie kryjąc. W rezultacie w pierwszym półroczu 1957 r. odnotowano w Warszawie o 35% przestępstw dewizowych więcej niż w całym 1956 r.<sup>44</sup> Zanim też stołeczna milicja odzyskała (w 1957 r.) możliwości bardziej skutecznego działania, fundamenty warszawskiego czarnego rynku walutowego były już tak mocne, że zbudowana na nich konstrukcja przetrwała bez większych problemów do końca lat osiemdziesiątych.

Jak w każdej gospodarce rynkowej, również tutaj prawdziwe „grube ryby” pozostawały w głębokim cieniu, urzędując zazwyczaj w prywatnych mieszkaniach lub w kawiarniach. Na ulicy widoczne były przede wszystkim płotki („koniki”, cinkciarze). Ich grupę

<sup>41</sup> Ibidem.

<sup>42</sup> „Trybuna Ludu” (dalej cyt.: „TL”), 10 listopada 1956.

<sup>43</sup> Jak pisał w 1960 r. Stefan Atlas: „Bank stworzony po to, by Polacy zamieszkali za granicą mogli okazać pomoc potrzebującym krewnym zamieszkałym w kraju: pozwala obdarowanym korzystać z szerokiego asortymentu towarów, państwu zaś przysparza potrzebne dewizy”. S. A t l a s, *Paragraf zero — raz jeszcze*, „TL”, nr 145, 26 maja 1960.

<sup>44</sup> APW, KW PZPR, 30/XVIII-7, t.1, k. 35 Walka z podziemiem gospodarczym, 1958.



tworzyli zarówno ludzie przypadkowi, zajmujący się tym procederem okazjonalnie, jak i prawdziwi profesjonalisci, na pierwszy rzut oka potrafiący ocenić klienta. To oni, patrolując okolice Traugutta, Mazowieckiej czy Kredytowej (lub stojąc w bramie banku, jego halu lub wręcz przy okienkach) dokonywali błyskawicznej kwalifikacji klientów banku, próbując kupić od nich dewizy lub czeki dolarowe uprawniające do zakupu pekaowskich towarów. Stawki „normalne” (tzn. powyżej 80 zł za dolara na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych) proponowano wyłącznie mieszkańcom miast, prowincjusze mogli liczyć na najwyżej połowę tej sumy.

Szybko też warszawski rynek walutowy wykształcił własny język, zespół zachowań, hierarchię. „Sprzedaż jest najciekawsza. — prezentowało sceny z warszawskiej „czarnej giełdy” opracowanie RWE — Nasz rozmówca zaczął »konika« i spytał o »papier« — nie wolno pytać o dolar, ponieważ to odstrasza lub »konik« widząc nowicjusza żąda wygórowanej ceny. Jeżeli włąda się »giełdziarską mową« — wówczas »konik« widzi, że ma przed sobą »kozaka«, którego nie da się »zrobić na dupę«. Rozmówca uzgodnił po 99 zł za dolar. Następnie kazano mu przejść do pobliskiej kawiarni »Stolica« (dawna »Europa«) na pl. Wareckim, albo do »Wikliny« i tam czekać. (Dewiz ze względu na bezpieczeństwo nigdy nie należy nosić przy sobie). W międzyczasie »konik« czy »dupa« skoczyła do »bankiera« i pobrała odpowiednią ilość dolarów, płacąc cenę w zależności od tego, po ile przedtem ich »szkapa« sprzedał »wujowi«. Mniej więcej 3 punkty do 4—rech niżej 99 zł (1 pkt. — 1 zł), tak aby »koniki« mogły zarobić. Dolary tym razem przynosi »konik« idąc w towarzystwie »dupy« — nie wzbudzając tym samym podejrzeń. Transakcja odbywa się w najgłębszej tajemnicy”<sup>45</sup>.

Zastosowana powyżej terminologia wymaga kilku wyjaśnień. „Bankierami” były pozostające w cieniu szare eminencje czarnego rynku, kontrolujące go i ustalające zasady gry. Im podlegali zarówno szeregowi handlarze, pracujący na ulicy, jak i stanowiska pośrednie („ogier”, „szkapa”), skupujący dewizy od stałych dostawców, mających kontakty z cudzoziemcami (taksówkarze, portierzy, szatniarze, kelnerzy), lub od przypadkowych dostawców. Jeżeli przeciętny „konik” był zazwyczaj drobnym detalistą, to „ogierów” można zaliczyć do „pólhurtowników”, operujących już znacznie większymi kwotami<sup>46</sup>.

„Bankierzy”, czy „kupy” byli już wielkoformatowymi businessmanami, obracający olbrzymimi sumami — tysiącami dolarów, kilogramami złota. „Ich dzień »pracy« zaczyna się wcześniej rano od mnóstwa telefonów, po których jada do »biura«, czyli do kawiarni, najczęściej »Europejskiej« czy »Metropol«. Tam załatwiają interesy, przyjmują pomocników niższych kategorii — handlarzy i koników. Działają hurtowo, szmelc ich nie interesuje”<sup>47</sup>. Dla nich skupowane dolary, marki, czy funty były tylko kapitałem obrotowym wykorzystywanym do szeroko zakrojonych operacji „handlu zagranicznego” (to już jest jednak temat na inny artykuł!). Prawdziwe dochody przynosił bowiem nie tyle detaliczny handel walutą, co odpowiednie jej inwestowanie, najchętniej w szmuglowane z zachodu złoto lub niedostępne w Polsce artykuły konsumpcyjne. Częstymi klientami „bankierów” byli również uczestnicy mniejszych lub większych afer gospodarczych, zazwyczaj lokujący „wypracowane” złotówki w trwalszych walorach. Maksyma „niepewne czasy, pewny dolar” obowiązywała nadal.

<sup>45</sup> HIM, P6211, FRE Research, Item 2794/60, Illegal currency transactions flourishing in Poland.

<sup>46</sup> Ibidem.

<sup>47</sup> A. Kłodziska, *Waluciarze*, „Życie Warszawy” (dalej cyt.: „ŻW”), 10–12 kwietnia 1971.

Większość z tych operacji nie była oczywiście w żaden sposób księgowana i ich rozmiary musimy oceniać na podstawie tak niepewnego materiału, jak dokumenty śledcze. Z jednej strony władze chciały bowiem wykazać jak najwięcej — oskarżeni natomiast jak najmniej. Nawet gdy uznamy podawane w aktach oskarżenia dane za szacunkowe (co zresztą podkreślano już wówczas), to i tak robią one wrażenie (zwłaszcza gdy pamiętamy o ówczesnych relacjach cenowych). Kilkuletnie obroty sędzonego w 1966 r. „księcia warszawskich waluciarzy” Henryka Płoskiego miały wynosić ok. 8 mln złotych (m.in. 54 tys. dolarów w banknotach, 6200 w złocie, 5 kg złota w sztabkach, 1100 funtów szterlingów)<sup>48</sup>. Na początku 1976 r. zaczął się w Warszawie proces dziesięciu prawdziwych „potentatów czarnego rynku”. Jeden z oskarżonych, Wiktor Mętlewicz, obrócił w latach 1963–1973 „wartościami dewizowymi” o wartości 502 mln zł. Inny — Mieczysław Młynarczyk — około miliarda. Zarzucono mu, że nabył lub otrzymał do dalszej sprzedaży 96 tys. dolarów, 113 920 złotych dwudziestodolarówek, 14 tys. pięciorublówek, 2245 kg złota w sztabkach. „Ale właściwie od tego złota — co przyznał lojalnie akt oskarżenia — odjąć należy 80 kg złota, które zostało wwieziona do Polski, ale później — na skutek gwałtownej zwwyżki ceny tegoż złota w zachodniej Europie — z powrotem przeszmyglowane za granicę”<sup>49</sup>.

Wśród głównych aktorów warszawskiego czarnego rynku nie brakowało postaci tak barwnych, jak Andrzej Rzeszotarski („Hrabia Lolo”, „Wujo”), z wykształcenia inżynier, typ wesołego, towarzyskiego *bon vivanta*, mający według ówczesnej wiedzy potocznej powiązania z władzą<sup>50</sup>. Zazwyczaj jednak „bankierzy” starali się nie wchodzić w oczy władzy, prowadząc pozornie „przeciętne” życie. Np. zatrzymany w 1973 r. i skazany w 1976 r. (na 12 lat) Tomasz Szczypułkowski pracował jako nauczyciel w technikum, jego żona była bileterką. Jak komentował w 1976 r. Piotr A m b r o z i e w i c z „nie mogą nie śmieszyć próby pokazywania porachunków polskiego podziemia walutowego przy pomocy zawodowych rewolwerowców. Mokra robota to hałas, to smród wokół interesu, który powinien być cichutki, niczym mysz pod miotłą”<sup>51</sup>.

Mimo że do zwalczania czarnego rynku walutowego MO wykorzystywała rzeczywiście dobrych fachowców (tzw. dewizówka, zwykli mundurowi z zasady nawet nie próbowali walczyć z „waluciarzami”), zatrzymanie nie tylko „bankiera”, ale nawet operującego na ulicy „konika” nie było zadaniem prostym. Często też władze pozostawały bezradne wobec wykształconych przez czarny rynek walutowy strategii obronnych: wielostopniowości kontaktu, zasady nieposiadania przy sobie walut, działań legitymizacyjnych (np. konto w banku, koło którego pracowano), a przede wszystkim niezwykła czujność, prowadząca do zaniechania transakcji w przypadku jakiegokolwiek podejrzenia. Skutecznie wykorzystywano też wszelkie luki prawne. Było to o tyle łatwe, że w pierwszych latach po 1956 r. dużą część obrotu stanowiły tzw. czekidolarowe PKO, uprawniające do zakupu zagranicz-

<sup>48</sup> *Księżę warszawskich waluciarzy przyznaje się do winy*, „Kurier Polski”, nr 208, 3–4 września 1966.

<sup>49</sup> B. Seidler, op. cit.

<sup>50</sup> Jak informowało we wrześniu 1965 r. Biuro Śledcze MSW „RZESZOTARSKI znany w środowiskach waluciarzy pod ps. »Hrabia Lolo« pozostawał w operacyjnym zainteresowaniu służby bezpieczeństwa, w związku z uprawianiem handlu wartościami dewizowymi w znacznych rozmiarach oraz utrzymywaniu kontaktu z obcokrajowcami. — Zadaniem śledztwa będzie wyjaśnienie transakcji handlowych obcymi walutami, samochodami oraz jego powiązań z różnymi obcokrajowcami przyjeżdżającymi do Polski”. AIPN, MSW II, 4370, Informacje Biura Śledczego 1965, k. 222–224. O Rzeszotarskim vide również J. K a r a s z k i e w i c z, *Słodkie lata*, „Gazeta Wyborcza”, 15 maja 1998; J. G ł o w a c k i, *Z głowy*, Warszawa 2004, s. 29–31.

<sup>51</sup> P. A m b r o z i e w i c z, *Historia wlotu i upadku Bolka–kelnera*, „PiŻ”, 26 grudnia 1976.

nych towarów. Handel nimi mieścił się w granicach prawa, zwłaszcza że handlarze byli często zaopatrzeni w zaświadczenia jednej z licznych firm handlowych, uprawnionych do skupowania takich czeków lub towarów zagranicznych. Klientów gotowych do odsprzedaży czeków nie brakowało — zaopatrzenie w sklepach PKO było początkowo marne, a przybyszów z prowincji, często nieorientowanych w skomplikowanym systemie, nie trudno było namówić do sprzedaży, oferując kilka złotych więcej ponad oficjalny kurs. Bezradność miała — jeśli dać wiarę doniesieniom prasowym — „doprowadzać do tzw. szwskiej pasji Komendę MO z ulicy Waliców”, której działania ograniczały się zazwyczaj do obserwacji, analizowania sposobów działania „waluciarzy” i co jakiś czas organizowanych — z rzadka owocnych — obław<sup>52</sup>.

Spore nadzieje łączyli warszawscy milicjanci z uchwaloną 13 kwietnia 1960 nową ustawą karno-skarbową (weszła w życie 30 czerwca 1960), której sporą część stanowiły — co było *novum* — przepisy dewizowe. Ustawa nie szafowała jednak — wbrew życzeniom MO — karami więzienia, podnosząc tylko wysokość grzywien (nawet do miliona złotych, sumy wówczas niewyobrażalnie wysokie)<sup>53</sup>. W dalszym ciągu pozostało wiele prawnych furtek, skutecznie wykorzystywanych przez „waluciarzy”, jak np. swobodny obrót wprowadzonymi właśnie w 1960 r. bonami dolarowymi PKO. W rezultacie zwalczanie „przesz tępczości dewizowej” przypominało walkę z wiatrakami, stając się częstym tematem artykułów prasowych, nawołujących do większej skuteczności i stanowczości. „Tabun »koników« — informowała w grudniu 1961 r. „Trybuna Ludu” — wciąż hasa przed Bankiem, co wywołuje słuszne oburzenie i było powodem wielu interwencji — komitetów blokowych, organizacji społecznych i mieszkańców tego rejonu”<sup>54</sup>.

Podjęmowane co jakiś czas mniej lub bardziej spektakularne akcje, skierowane przeciwko „spekulantom walutowym”, przynosiły w rezultacie stosunkowo mierne wyniki. W ciągu roku — od 4 kwietnia 1961 do 30 kwietnia 1962 w rejonie warszawskiego „centrum dewizowego” zatrzymano wprawdzie 253 osoby, ale wszczęto zaledwie 20 dochodzeń, a 13 osób aresztowano. O niskiej skuteczności MO świadczy fakt, że 15 osób zatrzymywano po 5 razy, 8 — 7 razy, a jednego rekordzistę — aż 13<sup>55</sup>. Chwalono się, że akcja skłoniła wielu „koników” do zarzucenia działalności, kilkunastu zmusiła do wyjazdu do innych miast, gdzie mieściły się ekspozytury PKO. Ale z drugiej strony uczestnicy „czarnej giełdy” błyskawicznie rozwinęli techniki obronne: część „koników” przeniosła się nieco dalej, w okolice Centralnego Domu Towarowego, ul. Kubusia Puchatka, czy Krakowskiego Przedmieścia. „Spekulanci działają z zachowaniem szczególnej konspiracji — informowano w sprawozdaniu o wynikach akcji — stosując sygnalizację, zorganizowaną kontr-obsługę itp.”<sup>56</sup>

<sup>52</sup> S. A t l a s, op. cit.

<sup>53</sup> L. H o c h b e r g, *Przestępstwa dewizowe w nowej ustawie karnej skarbowej*, „Państwo i Prawo”, 1960, z. 8/9, s. 303–309.

<sup>54</sup> W. I w a n i c k i, *Bank i gang*, „TL”, nr 335, 5 grudnia 1961; idem, *Zło niekoniczne*, „TL”, nr 336, 6 grudnia 1961.

<sup>55</sup> APW, KW PZPR, 30/VII–43, t.1, k. 306–307, Informacja specjalna, działania MO wobec spekulacji pod Bankiem PKO–SA w Warszawie, 24 maja 1962. Również wyniki ekonomiczne rocznej akcji nie były imponujące: zakwestionowano 277 300 zł, 385 dolarów w banknotach, 531 w bonach, 17 monet dwudziestodolarowych, towary z PKO na sumę 292 tys. zł. Ibidem.

<sup>56</sup> Ibidem. Powszechnie było np. korzystanie z tzw. kieszeni. „Jest to np. teczka, przechowywana przez zaprzyjaźnionego szatniarza lub babcię klozetową w pobliżu rejonu działania. W razie potrzeby idzie tam i korzysta

„Gra w zielone” między MO i Służbą Bezpieczeństwa z jednej strony a „podziemiem dewizowym” z drugiej, toczyła się ze zmiennym szczęściem aż do końca lat osiemdziesiątych. Po przeprowadzonej we wrześniu 1971 r. z inicjatywy ministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlachcica w największych miastach Polski (m.in. w Warszawie) tzw. akcji „Rubin”, skierowanej „przeciwko elementowi społecznemu zajmującemu się nielegalnym handlem wartościami dewizowymi i przemytem”, donoszono: „Po ostatnich dość rygorystycznych pociągnięciach władz zawód »cinkciarza« i prostytutki stał się nieopłacalny, a jeszcze bardziej niebezpieczny. Dlatego większość z nich szuka wyjścia z tej sytuacji. »Cinkciarze« posiadane samochody postawili na taksówki. W ten sposób mają jeszcze lepsze możliwości wymiany dewiz. Na ten temat dość głośno mówi się wśród pracowników gastronomii. Dziwią się oni, że organa milicji znając »chlubną« przeszłość »cinkciarzy« nie przeszkodziły w wydaniu im koncesji zarobkowych”<sup>57</sup>.

To przywiązanie cinkciarzy do wykonywanego zawodu łatwo wytłumaczyć. Żadna inna posada nie gwarantowała bowiem tak wysokich zarobków, nie wymagając jednocześnie zbyt wielu kwalifikacji i wykształcenia. Do tego była to praca na samodzielnie określanych warunkach, zaś ryzyko utraty wolności — w kalkulowane w koszty. Nic też dziwnego, że kiedy w 1970 r. podjęto w Warszawie kolejną akcję aktywizacji „pasożytów społecznych” (w stolicy doliczono się ich 12 tysięcy), podczas rozmów o podjęciu „normalnej” pracy otrzymywano często następujące odpowiedzi: „P. M. handlarz dewizami i lekami zagranicznymi, karany, podczas rozmowy z Komisją na pytanie w jakim charakterze i w jakim zakładzie chciałby pracować, oświadczył »mogę być kontrwywiadowcą w kosmosie«” lub „J. T. znany handlarz dewizami, wielokrotnie zatrzymywany, karany, przedstawił komisji propozycję podjęcia takiej pracy, gdzie zarobki wynoszą co najmniej 6 tys. zł. Petent ma 7 klas szkoły podstawowej i żadnego zawodu”<sup>58</sup>.

Dlaczego też mieli rezygnować z zajęcia, przed którym zarówno w latach siedemdziesiątych, jak osiemdziesiątych otwierała się świetlana przyszłość? Nowe możliwości dla cinkciarzy stworzyła bowiem dolarowa rewolucja epoki gierkowskiej: powstanie „Pewexów” (1973), ujednoczenie kont dewizowych (1976; odtąd nikt nie pytał o pochodzenie wpłaca-

---

ze znajdującego się w niej pogotowia kasowego. Podstawowa zasada bowiem brzmi: mieć przy sobie tylko tyle, ile jest konieczne”. R. C z e r n i a w s k i, *Gra w zielone*, „PiŻ”, 1983, nr 15. Strategie obronne były uzupełniane przez zabiegi socjotechniczne. Np. na początku lat siedemdziesiątych jeden z warszawskich waluciarzy, po większej transakcji miał pokazywać legitymację kuratora sądowego, oświadczając „Aresztuję was za handel dewizami”. Wtedy kontrahenci błagali o puszczanie, rezygnując z pieniędzy. Inny „cinkciarz” chcąc pozbyć się 5 tys. fałszywych dolarów (na które dał się wcześniej nabrać), specjalnie zamówił u krawca biskupią sutannę, by w niej — nie budząc podejrzeń — sprzedać je bez problemu. W celu zdobycia zaufania miał występować również w przebraniach tramwajarza, kolejarza, górnika. „Express Wieczorny”, 11 marca 1973.

<sup>57</sup> AIPN 0296/114, t.1, k. 2, 9. W tym samym miesiącu rozpoczęto także akcję o kryptonimie „Korona”, ograniczającą się do warszawskich hoteli („Europejski”, „Bristol”, „Grand”, „Metropol”, „Warszawa”, „MDM”, „Dom Chłopa” i „Saski”). Ibidem, k. 45, 60.

<sup>58</sup> APW, KW PZPR, 30/XVIII-7, t. 1, k. 400-405, Notatka dot. celowości wydania ustawy o pasożytniczym trybie życia. Również akcje prasowe nie przynosiły rezultatu. „Garstka waluciarzy tuczy się kosztem Skarbu Państwa. Nie daje społeczeństwu nic — biorąc, ile się tylko da. Handlarze wyższej kategorii wciągają do swoich interesów ludzi młodych, sprytnych, żerują na ich obrotowości i kontaktach. — Łatwy zarobek, spore zyski — wciągają. Młodzi stażem waluciarze brną coraz dalej, nie troszczą się o zdobycie fachu, o pracę. Najczęściej kończą w więzieniu”. A. K ł o d z i ń s k a, op. cit.



nych walut), umożliwienie wyjazdów zagranicznych na podstawie posiadanych w banku dewiz, a w latach osiemdziesiątych inflacja, powstrzymująca od oszczędzania w krajowej walucie. Wszystko to wpłynęło na powstanie systemu praktycznie dwuwalutowego, a z cinkciarza utworzyło niezwykle istotną instytucję, świadczącą *sui generis* propaństwowe usługi. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych nawet sądy patrzyły pobłażliwiej na nielegalne transakcje dewizowe, jeżeli miały one na celu wpłacenie walut na konto lub zakup w „Pewexie” czy „Baltonie”<sup>59</sup>.

Do walki z „przestępczością dewizowo-przemycniczą” przystąpiono ponownie w drugiej połowie 1982 r. Do połowy roku 1986 funkcjonariusze MO ustalili w Polsce „693 miejsca i rejony dokonywania przez »koników« nielegalnych transakcji dewizowych” oraz „3582 osoby dokonujące nielegalnego obrotu w miejscach publicznych”, pozyskano „o 6,7% więcej tajnych współpracowników rozpracowujących środowiska dewizowo-przemycnicze”<sup>60</sup>. Operację (której *notabene* nadano kryptonim „Konik”) kontynuowano w 1987 r., osiągając „wzrost ujawnialności przestępstw dewizowo-przemycniczych” o 128,6%, co miało w pełni uzasadniać „prowadzenie ww działań [również] w 1988 r.”<sup>61</sup> Trudno powiedzieć, czy zrealizowano te plany. Z jednej strony dało się już odczuć przejaśnienie, z drugiej właśnie na przełomie lat 1987 i 1988 władze cywilne przedsięwzięły kroki stawiające akcje „antywaluciarskie” pod znakiem zapytania<sup>62</sup>. Wtedy bowiem Narodowy Bank Polski (początkowo 11 oddziałów w największych miastach) rozpoczął skup bonów dolarowych po kursach czarnorynkowych. Cinkciarze szybko jednak wykazali wyższość gospodarki prywatnej — państwowe placówki najpierw musiały skupić, aby potem sprzedać, zaś waluciarze dokonywali obu operacji na życzenie. W bankach pojawiali się więc głównie ci, którzy bali się wcześniej kupować u koników<sup>63</sup>. Większym zagrożeniem dla cinkciarzy było wprowadzenie na początku 1989 r. wewnętrznej wymienialności złotych i dopuszczenie koncesjonowanych kantorów wymiany do obrotu walutą. Początkowo cinkciarze byli jeszcze w stanie pokazać, że na handlu walutą znają się lepiej: 5 kwietnia 1989 oferując cenę skupu znacznie wyższą niż w banku doprowadzili do wstrzymania przez trzy warszawskie oddziały PKO (ul. Sienkiewicza, Rotunda, pl. Powstańców) sprzedaży amerykańskiej waluty<sup>64</sup>.

Hiperinflacja, która rozpoczęła się latem 1989 r. spowodowała, że każdy, kto zajmował się wymianą — legalną, czy nielegalną — miał pełne ręce roboty. Każdy, kto posiadał złotówki natychmiast zamieniał je na trwalsze walory, systematycznie je potem sprzedając „na życie”. Złote czasy nie trwały jednak długo i skończyły się w 1990 r., razem ze spadkiem realnej wartości dewiz (dolar kupiony w styczniu 1990 r. w grudniu tego roku

<sup>59</sup> R. Czerniawski, op. cit.

<sup>60</sup> AIPN, KGMO 35/554, k. 46, 50, Informacja o efektywności zwalczania przestępstw dewizowo-przemycniczych, czerwiec 1986.

<sup>61</sup> Ibidem, k. 82–83, Uzasadnienie kontynuacji operacji i wzmoczonych działań przez pion do walki z przestępstwami gospodarczymi w 1988 r., 31 grudnia 1987.

<sup>62</sup> Już maju 1987 r. Narodowy Bank Polski przedstawił propozycje zmierzające do „oblaskawienia” czarnego rynku walutowego, m.in. wprowadzenie skupu bonów przez państwo za cenę zbliżoną do czarnorynkowej, umożliwienie zakupu walut na wyjazdy „po kursie równowagi” *etc.* *Propozycje działań zmierzających do zmniejszenia czarnorynkowego kursu walut obcych*, NBP, Warszawa, maj 1987 (dziękuję dr. Grzegorzowi Sołtysiakowi za udostępnienie tego opracowania).

<sup>63</sup> J. S. J ó Ź w i a k, *Cinkciarz prezesa*, „Tygodnik Kulturalny”, 17 lipca 1988, nr 29.

<sup>64</sup> *Czarny wtorek na walutowym rynku*, „ŻW”, nr 260, 8 listopada 1989. Vide także M. S m o g o r z e w s k i, *Nim bank się ocknie — cinkciarz zarobi*, „Gazeta Wyborcza”, nr 41, 4 lipca 1989.



był wart już tylko jedną piątą!) i stabilizacją legalnego rynku walutowego. Jednak jeszcze przez kilka lat można było spotkać w okolicach kantorów lub banków panów proponujących wymianę na znacznie korzystniejszych warunkach. Potem i oni przeszli do historii.

**“The Stable Dollar in Unstable Times”:  
A Draft Sketch of the Money–Exchange Black Market in Warsaw**

The article deals with the illegal, under the Communist regime, private money exchange machinations concerning Western currencies (chiefly US dollars) and gold. The author points out that the formation of the currency black market formed itself during the German occupation 1939–1944, when inflation and fear of loss of one’s possessions drove many persons to turn their savings to means easily stored and transported, i.e. to foreign currencies and gold. The black market continued to function after the war, finding favourable conditions within an economic system, which refused to furnish such services to the society by legal (in practice exclusively state–owned) institutions. The lack of confidence in home currency, escalated by fears of low rate compulsory currency change or of inflation, only helped to strengthen the black market. Moreover, numerous imported goods, in particular consumer products, could only be acquired in special shops, which traded for Western currencies. In result, during the whole period 1945–1989 there existed a group of traders, who bought and sold hard currencies and gold. This group was by no means uniform. It extended from “financial sharks”, who provided capital but never engaged in transactions personally dealing through bigger and lesser agents, to minor peddlers, who operated with money borrowed on interest. Warsaw was the main centre of transactions in hard currencies and gold. In the capital, even during the Stalinist period, there functioned an unofficial “stock” exchange, where daily rates of exchanges were established. An important role was played by cities at the seaside, where international harbours were located (Gdańsk, Gdynia, Szczecin), and tourist centres (Cracow, Zakopane). The Communist authorities on the one hand persecuted (with changing severity) the persons engaged in the gold and currencies trade, but on the other probably used them as a channel for acquiring hard currency. According to some accounts, at first this was done through special agents, who approached the dealers pretending to be individual buyers. Later on a whole network of special shops (the so called “internal export” system) was created, where rare (chiefly imported) goods could be bought for Western currencies. This system was disposed of with the introduction of the market economy in the years 1989–1990.